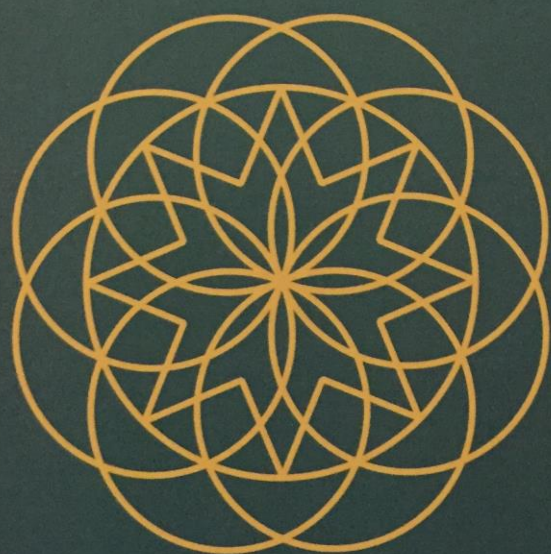


ALMANACH  
RODZIN  
KOZIEJ



2 0 1 5

## ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

kierownik redakcji  
członek redakcji  
członek redakcji  
członek redakcji  
członek redakcji  
członek redakcji  
członek redakcji  
opracowanie graficzne

Grzegorz Koziej  
Danuta Koziej Wrzosińska  
Elżbieta Koziej Galińska  
Florian Koziej  
Jerzy Koziej  
Leszek Koziej  
Rastysław Sawczuk  
Stanisław Koziej  
Joanna Koziej

\*\*\*

ISBN 978-83-930973-9-5

Wydany nakładem Stowarzyszenia „Rodzina Koziej”

Lublin, czerwiec 2015

## SPIS TREŚCI

Od redakcji .....	4
VI Spotkanie Rodzin Koziej we Lwowie.....	6
Koziej Roku 2010 – Aleksander Koziej z Trzebnicy .....	17
Kozieje w Ziemi Lubaczowskiej .....	18
VII Spotkanie Rodzin Koziej w Nasutowie .....	28
Koziej Roku 2011 – Danuta Koziej Wrzosińska z Warszawy „Gdzie diabeł nie może” .....	36
VIII Spotkanie Rodzin Koziej w Nasutowie .....	44
Koziej Roku 2012 – Stanisław Koziej z Warszawy .....	50
O naszym Tacie i Dziadku, Antonim Koziej z Glinnika .....	53
IX Spotkanie Rodzin Koziej w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą .....	94
Koziej Roku 2013 – Jerzy Koziej z Elbląga .....	101
W poszukiwaniu zapomnianych krewnych .....	102
X Spotkanie Rodzin Koziej w Nasutowie .....	146
Koziej Roku 2014 – Grzegorz Koziej z Warszawy .....	152
Koziejowie – Ród z Pogranicza .....	154
Podziękowania .....	173
Wspomnienie o Stanisławie Koziej z Lublina .....	174
Historia Stowarzyszenia „Rodzina Koziej” – lata 2010 – 2014 .....	178
Władze II Kadencji Stowarzyszenia „Rodzina Koziej” .....	183
Listy uczestników Spotkań Rodzin Koziej .....	184



# O NASZYM TACIE I DZIADKU, ANTONIM KOZIEJ Z GLINNIKA

Chcielibyśmy ocalić od zapomnienia przemyślenia i zapiski naszego Taty i Dziadka, Antoniego Koziej z Glinnika, jakie poczynił w ostatnich latach swojego życia. Poprzedzamy je swoimi krótkimi refleksjami z pamięci o tym wspaniałym człowieku, ojcu i dziadku.

## TATA – człowiek zasad

Gdybym chciał najkrócej scharakteryzować swojego Tatę, Antoniego Koziej, to chyba tak właśnie bym powiedział: człowiek zasad. Być sobą, żyć zawsze zgodnie ze swoim sumieniem: tę filozofię życiową wcielał nam, swoim dzieciom. W tym sensie był uparty. Jeśli przyjął jakieś zasady, wierzył w nie, uznawał w swoim przekonaniu coś za prawdę, nie dał się od tego odwieść. Uparty chłop. To coś po nim chyba przejąłem.

Zanotowana w mojej pamięci historia Taty rozpoczyna się od czerwca 1947 roku, gdy zmarła Mama przy porodzie swojego drugiego syna, mojego brata Janka. Pamiętam Tatę klęczącego i rozpaczającego przy łóżku, na którym leżała Mama. Miałem wtedy 3,5 roku. Pamiętam pogrzeb Mamy, trumnę z ciałem wynoszoną przez Tatę i najbliższych na ramionach poza granice Glinnika i potem złożoną na furmance w drodze na cmentarz. We dwóch z Tatą w następnych dniach budowaliśmy na grobie cementową obudowę i potem żelazny krzyż z charakterystycznymi kółkami wypełnionymi cementem. Stoi taki do dziś, a grób jest przykryty dodatkowo przeze mnie płytą i tablicą z napisem. Niedługo po śmierci Mamy Tata, rodzinną decyzją jednych i drugich Dziadków (Koziejów i Rojków), ożenił się z Jej siostrą Heleną, która wspaniale, przez całe swoje życie, zastępowała mnie i bratu Mamę tak, abyśmy nie odczuwali Jej braku. Była dla nas jak prawdziwa, ciepła, serdeczna, opiekuńcza Mama. Mieli z Tatą jedną córkę, naszą siostrę przyrodną Barbarę.

Tata był człowiekiem głęboko wierzącym, aczkolwiek z tym bardzo się nie obnosił. Chodziliśmy systematycznie do kościoła. Często jeździliśmy tam furmanką albo – zimą – saniami. Czasami, zwłaszcza przy okazji odpustów w Abramowie lub Michowie, była to też trochę taka rewia mody, a zwłaszcza koni i furmanek, niekiedy przeradzająca się wręcz w wyścigi po nabożeństwie. Od czasu do czasu Tata dawał mi lejce, abym poprowadził. Raz o mało co nie wjechałem w pędzie do szerokiego rowu przy drodze przed samym mostkiem w Glinniku, ściągając nieopacznie lejce w prawo. Serce podeszło mi do gardła, ale ostatecznie koń był

mądrzejszy :-). W lipcu 1949 roku Tata, razem z sąsiadami, zorganizował wyjazd do Lublina, by zobaczyć cud łez na obrazie Matki Boskiej w tamtejszej archikatedrze. Wtedy pierwszy raz w życiu zobaczyłem pociąg na stacji w Klementowicach i straszną panikę koni na widok parowozu.

Tata był inteligentnym, ciekawym świata człowiekiem, podobnie jak jego Tata, czyli Dziadek Jan Koziej. Pamiętam, że zawsze prenumerowaliśmy gazety, w latach czterdziestych: GROMADA, CHŁOPSKA DROGA, potem – pewnie po zjednoczeniu PPR i PPS – GROMADA-ROLNIK POLSKI. Po pewnym czasie tata zrezygnował z tej prenumeraty, co, jak pamiętam, było gestem swoistego buntu przeciw ówczesnej rzeczywistości i propagandzie partyjnej w tej gazecie. Taki ostentacyjny gest już sam w sobie był nieco ryzykowny, bo trzeba było się jakoś wytłumaczyć z tej rezygnacji. W domu dużo się czytało książek. Najczęściej wieczorami, przy naftowej lampie, Tata czytał na głos, gdy my leżeliśmy już w łóżkach szykując się do spania. Pierwsze, co zostało mi w pamięci, to „Ludzie bezdomni” Żeromskiego. To Tata zaraził mnie czytaniem na całe życie. Ono stało się moją, tak naprawdę jedyną i najmocniejszą pasją życia.

Choć w pewnym momencie... przedobrzyłem. Przestałem się uczyć spraw szkolnych, tylko czytałem, czytałem i czytałem. Tata wręcz zabronił mi jednego lata wypożyczania książek. Na niewiele się to zdało, wypożyczałem, chowałem książki w stodole, oborze, a nawet po prostu w malinach, by w dogodnym momencie urywać się do ich czytania lub wziąć je „za pazuchę”, gdy szedłem z krowami w pole, by je tam pasać. To w istocie rzeczy „za krowami” przez lata szkoły podstawowej przeczytałem całą biblioteczkę wiejską w Glinniku (takie były wtedy!) od dechy do dechy, całą szkolną w Szkole Podstawowej w Wielkiem, dużą część parafialnej i gminnej w Abramowie. Czytanie jest moją, oddziedziczoną pasją po Tacie do dziś.

Gdzieś na początku lat pięćdziesiątych mieliśmy, jako jedni z nielicznych we wsi, radio słuchawkowe, kryształkowe. Słuchanie tego radia wieczorami to była też cała ceremonia. Konieczna była przede wszystkim cisza! Tata stosował różne sztuczki, np. obstawiał słuchawki talerzami, aby w ciszy absolutnej mogło słuchać więcej osób. Często przychodzili sąsiedzi posłuchać, zwłaszcza Wolnej Europy. Wtedy były dodatkowe emocje konspiracji – czy czasami ktoś pod oknem nie podsłuchuje i nie doniesie o takim zakazanym procederze.

Co do konspiracji to też odebrałem od Taty lekcję. Musiało to być krótko po śmierci Mamy, bo Tata poszedł doić krowy, a ja byłem sam w domu. Ktoś przyszedł i się zapytał: gdzie jest Tata?. Nie wiem, odpowiedziałem, bo wydawało mi się, że nie mogę przecież powiedzieć, że Tata doi krowy (to była czynność typowa dla kobiet :-). Zreferowałem potem Tacie całe zdarzenie: dobrze, pamiętaj, jak nie znasz kogoś, nic nie mów. Mądra zasada wstrzemięźliwości.



Tata nie był jakimś rewolucjonistą, ostentacyjnym buntownikiem, ale był mocno krytyczny wobec nowego, powojennego ustroju. Z dumą, ale żartobliwie eksponował dużymi literami na tabliczce u wozu (odpowiednik tablicy rejestracyjnej w samochodach) swoje inicjały AK: niech ich drażni. Pamiętam pierwszą lekcję polityczną, jaką od niego dostałem i która w jakiś sposób ukształtowała też moje podejście do tego socjalistycznego świata. Był rok 1952, kampania przed wyborami. Szliśmy grupką dzieciaków do kościoła, gdy przejechał koło nas samochód i przez okno jadący nim wyrzucili całą paczkę fruujących na wietrze ulotek wyborczych. Były fajne, wielkości kartek do ściennego kalendarza. Przyczepialiśmy je na słupach telefonicznych i drzewach w drodze do kościoła. Garść przyniosłem do domu. I tu Tata dał mi porządną lekcję w postaci antykomunistycznego opeer: „na przyszłość nie bierz takiego g... do ręki”.

Podobnie było w innym przypadku. Z grupą dzieciaków bawiliśmy się przy drodze przechodzącej przez Glinnik, gdy podszedł do nas, przybyły pewnie na wakacje do rodziny, bo nie mówił po „naszemu”, tylko z miejska, jakiś aktywista, młody działacz partyjny. Zagadnął nas o wyższości działania zespołowego (pewnie w ramach ZMP) nad indywidualnym, pokazując jak łatwo złamać jedną gałązkę, a jak trudno całą ich wiązkę. Przyszedłem do domu z tą mądrością. Ty uważaj, bo oni chcą u nas zrobić kołchoz, zabrać nam ziemię i gospodarstwo. Nabrałem wtedy trochę sceptycyzmu wobec takich pozornie atrakcyjnych prawd.

Skutki takich lekcji Taty były różne. Pamiętam chyba gdzieś w drugiej, może trzeciej klasie dał mi małą książeczkę do historii sprzed wojny. Była fascynująca, bo zupełnie inna niż ta, jaką dzieciakom wpajano w szkole. W pewnym momencie na lekcji zacząłem odpowiadać wykorzystując wiedzę z tej książki, a nie z podręcznika szkolnego, pamiętam było to o Batorym i jego pochodach wojennych. Nauczycielka (przedwojenna) oficjalnie wpadła w panikę, ale po cichu była też dumna z takiej wiedzy. Innym wyrazem dziecięcej dezaprobaty dla rozpowszechnianej wówczas propagandy było wyrzucanie w czasie pochodów pierwszomajowych czerwonych chorągiewek i maszerowanie tylko z biało-czerwonymi i do tego z okrzykami „pokój-kuchnia”, „pokój-kuchnia”.

To wychowanie Taty omal nie doprowadziło do katastrofy edukacyjnej. W 1954/5 roku, w piątej klasie po przejściu do szkoły w Wielkiem, zaczęła się nauka języka rosyjskiego. Zorganizowaliśmy bunt i nie chcieliśmy uczyć się tego przedmiotu, sprzedawaliśmy książki do języka rosyjskiego. Oczywiście w tym buncie wytrwali bardzo nieliczni, ale wśród nich ja. Otrzymałem więc ocenę niedostateczną, którą musiałem poprawiać po wakacjach. Wróciłem do domu bez świadectwa. Tata pewnie wiedział dlaczego, ale przyjął ze spokojem moją interpretację, że po prostu zabrakło im druków w szkole i dadzą nam świadectwa później. Oczywiście przez wakacje, pasąc krowy, nauczyłem się po prostu na

pamięć całego podręcznika do języka rosyjskiego, poprawkę zdałem celująco i w następnych latach byłem nieomal prymusem w tym przedmiocie też. Było to potwierdzenie życiowej prawdy, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Byłem bardzo podobny do Taty także fizycznie. Gdy poszedłem do średniej szkoły do Łodzi (Technikum Przetwórstwa Papierniczego) i potrzebne było pilnie zdjęcie do legitymacji szkolnej, dałem zdjęcie Taty z jego młodych lat, jakie otrzymałem na odjeźdźnym. Przez rok Tata był moją legitymacyjną wizytówką. Nikt nawet się w tym specjalnie nie połapał.

Za jedną z najważniejszych, niezwykle odważnych decyzji Taty uznaję sprzedaż swojego ok. 2 hektarowego rodzinnego gospodarstwa w kilku „kawałkach” w Glinniku i przeniesienie się do Wielkopolski, na piękne 20 hektarowe gospodarstwo w Mokronosach, koło Damasławka, w powiecie Wągrowieckim. To było w 1962 roku, gdy ja kończyłem szkołę średnią i wybierałem się do szkoły oficerskiej. Była to decyzja racjonalna, ale jednocześnie emocjonalnie niezwykle trudna, takie przecięcie lubelskiej pępowiny. Prawdę powiedziawszy ja wolałbym, aby rodzice zostali w rodzinnym Glinniku, w rodzinnych, ciepłych, przytulnych, znajomych stronach; jakoś nie zaaklimatyzowałem się w nowym miejscu. Mokronosy były dla mnie tylko przyjemnym miejscem, gdzie mieszkała moja rodzina. Ale rozumiałem i rozumiem decyzję Taty jako wykorzystanie szansy na jakościowy skok w poziomie życia i w rozwoju gospodarstwa rodzinnego. To był skok niemal w inną epokę cywilizacyjną i kultury rolniczej. Pamiętam jak nasz Dziadek od strony Mamy, Stanisław Rojek, nie mógł zrozumieć, jak po żniwach na polu mogą marnować się kłosa pozostające tam po koszeniu żniwiarką i grabieniu grabiarką. Chodził po tym po polu z grabiami i zbierał ręcznie pojedyncze kłosa, jak czynił to zawsze w Glinniku, tylko że tu miał 10 razy więcej tego pola do chodzenia i nie miał szans na zrealizowanie swoich planów. Bardzo to przeżywał i psioczył na marnotrawstwo. Dziadek wieczorem, gdy prosił o zgaszenie światła, mówił zdmuchnij kochanku, no bo w Glinniku nie było prądu i gaszenie światła przez całe życie polegało na zdmuchnięciu lampy naftowej lub wcześniej świecy.

Oczywiście początki także w Mokronosach nie były łatwe. Ale zaprawieni w ciężkiej harówce od rana do nocy na rozdrobnionym lubelskim gospodarstwie rodzice szybko się uporali z początkowymi trudnościami. Pamiętam np. mrówczą wręcz walkę ręczną z perzem na zapuszczonym trochę polu. Miejscowi sąsiedzi nie mogli wręcz wyjść z podziwu, że w taki sposób sobie daliśmy z nim radę. Widziałem, że Tata był bardzo dumny z nowego gospodarstwa. Włożył w niego wiele serca i pracy i doprowadził do extra poziomu. Nie pokazywał po sobie tęsknoty za Lubelszczyzną. To przyszło dopiero później, na emeryturze. Dlatego bardzo przeżył, gdy po niespełna 20 latach rodzice sprzedawali to gospodar-



darstwo, by przenieść się do Płocka (konkretnie do Borowiczek pod Płockiem, obecnie już część Płocka). Aż do emerytury Tata pracował w Fabryce Maszyn Żniwnych.

W tym czasie zacząłem Tatę zabierać ze sobą na wczasy. Wcześniej, gdy rodzice byli na gospodarstwie, na wszelkie wakacje jeździło się do domu. Bo trzeba było też pomagać w polu, zwłaszcza przy żniwach. Jednocześnie dla naszych dzieci to była ogromna frajda i bardzo wychowawcze: wakacje na wsi. Teraz mogłem Tacie się zrewanżować. Pamiętam, jaką radość sprawił mi Mu zabierając go nad morze: do Mielna, Kołobrzegu, Międzyzdrojów. Nie przeżyłem chyba nigdy nic szczęśliwszego w swoim życiu, niż widok Taty cieszącego się jak dziecko, gdy pierwszy raz w życiu zobaczył morze i mógł się w nim zanurzyć. Żałuję, że nie zdążyłem zabrać go w góry. Zacząłem też wozić Tatę w Lubelskie, do Glinnika i do innych sąsiednich miejscowości, by odwiedzać żyjącą tam rodzinę. Widziałem, że Tata to przeżywał, wspominał, opowiadał swoje dziecięce lata. Był dobrym gawędziarzem w czasie rodzinnych spotkań, w których już występował jako senior rodziny.

Tata był bardzo dumny, że miał syna wojskowego: najpierw podchorążego, potem oficera, nie mówiąc już o generale. Nie mogłem Taty zawieść. Przy różnych okazjach pokazywałem się z nim w mundurze, bo widziałem, że to sprawia mu radość. W generalskim mundurze też Go pożegnałem, gdy zmarł nagle, na atak serca, na schodach w domu, wracając z ogródka do swojego pokoju, by zapewne albo się pomodlić, albo coś tam znowu poczytać lub napisać.

Tata był i pozostanie autorytetem dla mojej rodziny: dla mnie ze względu na życiową mądrość i wierność zasadom; dla mojej żony Wiesławy, a Jego synowej, którą bardzo kochał i dla której był jak prawdziwy Ojciec, bo swojego straciła jako dziecko w wieku 2 lat; dla moich dzieci a swoich najstarszych wnuków, Ani i Andrzeja, bo był dla nich i chyba pozostanie niejako wzorcem „Koziejowskiego charakteru” i jakimś punktem odniesienia w ich życiu.

Stanisław Koziej z Warszawy, najstarszy syn Antoniego

Warszawa, luty 2014 r.